

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA IM. PIOTRA SKARGI.

KSIĄŻKI DLA POLSKIEGO NARODU.

Książka VIII. (sierpień) Cena 30 groszy.



*Jeśli Cię zapomnę
Ojczyzno moja miła, niech
zapomnę prawicy ręki mo-
jej!*

ADAM KRECHOWIECKI

ŚWIĘTY JEST...

(FRAGMENT)

W TRZECHSETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI X. PIOTRA SKARGI

LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA IM. PIOTRA SKARGI.
Z Drukarni Zakładu Nar. im. Ossolińskich
pod zarządem Karola Jasińskiego.

12893 12894 12895

ADAM KRECHOWIECKI

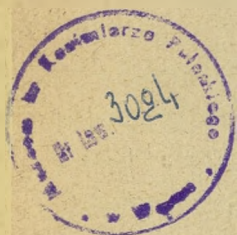
ŚWIĘTY JEST...

(FRAGMENT)

W TRZECHSETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI
X. PIOTRA SKARGI

Ze zbiorów

Mariana i Janiny TRECZ



LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA IM. PIOTRA SKARGI

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAR. IMIENIA OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM KAROLA JASIŃSKIEGO

Wiosna była tego roku Pańskiego 1606 gorsza jesieni. Deszcz i śnieg na przemiany, albo też społem lejąc, czyniły drogi nie do przebycia, że konie w ślizgiem błocie padały, a człek marzył w kwietniu, jakby to oktober lub zgoła december był.

Wszelako w Lublinie roіło się od szlachty konnej i pieszej, dwornej a buńczucznej, to znów chudopacholskiej i siermiężnej, lecz cale nie potulnej, a tak w tem dżdżystem powietrzu rozognionej, jak gdyby w ich łbach podgolonych płomienie piekielne gorzały.

Rozpalał ich tak swą mową imćp. starosta zygwulski, Stanisław Stadnicki, „Dyałem“ zwan, a także niemało imćp. Piotr Łaszcz lityński starosta, którzy wprost tu ze zjazdu w Stężycy, przez Zebrzydowskiego wojewodę zwołanego, tłumnie przybywali,

deliberując a wadząc się nieraz srodze o to, co się tam złego lub dobrego i za czyją sprawą stało.

Ze zjazdu takowego największą zaś korzyść miał sławetny imćp. Szafrański, utrzymujący najznacniejszą w Lublinie gospodę „pod Barankiem“, słynną z dobroci miodu i wszelakiego napitku, który teraz tembardziej pożądany był, ileże słota była ustawiczna a zimno przenikliwe. Tak tedy, co innym dokuczliwość a częstokroć i szwank na zdrowiu czyniło, to imćp. Szafrańskiemu wychodziło na pożytek. Kręcił się tedy od rana do nocy, a nawet w noc późną, jak mucha w ukropie, bez ustanku, coraz to nowe beczki tocząc i znosząc dzbany, które wnet wypróżniały umęczone sejmikowem gadaniem gardła braci szlachty.

Jednego dnia zerwała się istna śnieżyca, że świata Bożego nie można było oglądać, a wicher tak zawodzić począł, jak gdyby wszystkie szatany naraz rozjęczały się w czeluściach piekielnych. W gospodzie było jeszcze pusto, a pan Szafrański zajęty

był przygotowywaniem większych zapasów jada i napitku, ileże dworzanin imięp. Łaszcz już z rana był zapowiedział, jako pan starosta lityński z całą swą „gromadką“ przyjacielską na ucztowanie pod wieczór przybędzie. A już wiadomem było, co to znaczyć miało takie pana Łaszczowe ucztowanie i jaka to była owa przyjacielska „gromadka“.

Nawet pan Szafrąński, człek różnych przygód świadom i w nie byle jakich okazyach doświadczony, ale na starość spokój lubiący, nie zbyt rad był owej zapowiedzi.

— Wolę już — mrucał — łańcuckiego pana, co go „dyabłem“ — Boże odpuść! — zwać, niż owego lityńskiego starostę... Pan Stadnicki zanim się do gardła porwie, wielki harmider czyni, to i uchronić się w czas łącniej. A ów pan Łaszcz, powiadają, jeno zęby zaciśnie i jakąś buławką, którą na kresach ukraińskich wojował, albo zgoła pięścią, jak żelazo mocną, milczkiem uśmierca...

A gdy to z wielką aprehensją w sercu mówił pan Szafrąński, zmagła uczyniła się głośna przed gospodą wrzawa i zanim tenże znak Krzyża świętego dla wszelakiego bezpieczeństwa uczynić zdołał, drzwi się gwałtownie otwarły i do wnętrza izby wdarło się kilka zamaszystych postaci.

Przodem kroczył średniego wzrostu, barczysty, niemłody już mąż, który chociaż nie zbyt strojnie w żupan żółtej barwy i takąż delię przybrany, podniesioną głowę niby senator niósł, a z wyrazu twarzy na zapamiętatego wyglądał rycerza. Wokół niego tłumili się inni, młodszy i starsi, gadający wszyscy społem, wrzeszczący w niebogłosy:

— Niema zgody!...

Ów zaś, co pierwszy szedł, stanął na środku izby, nogi szeroko rozstawił, w boki się podparł i z góry wokół spoglądał, milcząc. Jeny w jego niewielkich, czarnych, szybko biegających oczach, zapalały się jakieś iskry płowe, nie wiedzieć zali z gniewu, czy z ukontentowania wewnętrznego. Milczał, a jeno na chudych, ogo-

rzałych policzkach znać było, mu jako się zaciskają szczęki, a wtedy nozdrza dość wydatnego nosa rozdymały mu się, jak chrapy u konia, gdy niebezpieczeństwo poczuje jakoweś.

Szafrański tulił się pod ścianą w przestrachu:

— Pan Łaszcz!... — szepnął drżącemi wargi.

— Niema zgody! — wołano. — W Stężycy jużeśmy to obaczyli, jako pan Zebrydowski słaby jest i królowi wnet ulegnie. Na nic to się przyda, dopóki nie wybierzem „najwyższego rządu“, który absolutum dominium ukróci...

Zamigotały oczka przywódcy na te słowa i głosem syczącym, który się przez gęstwą owych rozwichrzonych krzyków, niby ostrze szabli, przedarł, zagadnął krótko:

— A kogoż byście chcieli mieć owym „rządem najwyższym“?

Moment było milczenie, jakby szukanie w myślach. A wreszcie gdzieś z tłumu ozwał się głos tubalny:

— Niech by już był pan wojewoda krakowski, jako głowa naszego zjazdu, ale mu dodać trzeba xiążęcia Radziwiłła Janusza i zygwulskiego starostę...

A na to rzucił się Łaszcz, jakby go co uraziło w ranę. Zacisnęły się szczęki i głos syczący przerwał:

— Pan Stadnicki nas rzuci... odstąpi... On ma tu własne swoje obrachunki serdeczne...

— Nie odstąpi! zaoponował głos głuchy, twardy, szorstki... Pan Łańcucki wielką armię pod Lublin już gromadzi i na przyszły zjazd, na dzień 4 czerwca, pięknie stanie w sześć chorągwi Węgrów, w trzy chorągwie usarskie a piechoty będzie miał z dziesięć...

— Kto to rzekł? spytał Łaszcz i świdrującym wzrokiem rzucił ku drzwiom, z kąd ów głos pochodził.

Uczyniło się wnet wolne miejsce i na przód wysunęła się ogromna postać, dźwigająca na barkach głowę tak wielką, że zdawała się ją całą przygniatać. Głowa ta

porośnięta była siwą, gęstą, skudłaczoną czupryną, z którą łączyła się także broda, na piersi spadająca. Ubrany był ten człek w szarą kurtę grubą, rzemiennym przepasaną pasem; w rękach czarnych, a także ogromnych, trzymał spiczastą czapę barankową. Śmiało postąpił ku groźnemu staroście i z ukłonem niskim odparł:

— Jam to rzekł, jako zaufany stary sługa jaśnie wielmożnego starosty zygwulskiego, Jan Legart...

Łaszcz mierzył go wzgardliwym wzrokiem.

— Sługa, a mieszasz się między pany... — syknął.

— Chłop jest! wołano, — precz!

Olbrzymia głowa zakołysała się na barkach tak, jak gdyby spaść chciała na krzyczących taranem. Głosem stłumionym, bezdźwięcznym, który zdawał się z podziemi wychodzić, odparł:

— Pójdę wnet precz, jeno wolę pana mego spełnię... Jaśnie wielmożny imćp. starosta zygwulski pozdrowienie śle ja-

śnie wielmożnemu lityńskiemu staroście, oznajmując, jako dziś tu przybyć nie może, ileże ważną rzecz wysledził i pilnuje...

— Jaką rzecz? chychotano... Białogłowskie pono sprawy są...

— Rzeczy są tajemne... — mówił dalej Legart, szyderczym wzrokiem na przerwy czyniących rzuciwszy, — a takowych tajemnic, które pańskie są, chłopu nie badać... Jeżeli zaś zbada, nie wydać...

— Gadaj! krzyknął, tupiąc nogą Łaszcz.

— To jeno rzec mogę, — nie zmieszany ciągnął Legart — że o jakoweś knowania jezuickie idzie...

— Znamy je! zawołano. Przecie w Stężycy nawet X. Piotr Skarga już był, a nie wskórał nic...

Legart ramionami dźwignął.

— Może i X. Skarga — burknął, — bo ja wiem...

Oddał pokłon lityńskiemu staroście i już ku odejściu się miał, lecz Łaszcz, który na samą wzmiankę o X. Skardze,

zachnął się gwałtownie, za ramię go ułapił:

— Otwórz gębę chłopie! — wrzasnął — i gadaj!... Czyżby X. Skarga tu był?...

Legart dźwignął barkami tak silnie, że Łaszcz rękę cofnąć musiał, a chłop parę kroków odstąpiwszy, znowu kark przed starostą zgiął, ale z podełba patrzył na niego ogniście:

— Pan Stadnicki tak mi rzekł, że jeszcze dzisiejszej nocy będzie u jaśnie wielmożnego starosty i tam mu wszystko odkryje, coby jeno wywiedzieć się mógł. Zaczem pokorne służby moje oddaję...

Potrząsł siwą głową, podniósł ją hardo i już ku drzwiom prosto szedł, na nikogo się nie oglądając.

Aż w samym progu przystanął i odwrócił się groźnie. Posłyszał bowiem, jako szlachcic pewien z pana Łaszczowej gromadki, Lichodziejowski nazwiskiem, śmiejąc się rzekł:

— Dobrego sobie posła wybrał Łańcucki dyabeł. Iście dyabelski to chłop... Nie siedm, ale dziewięć musi mieć na sobie skór... Można jak w bęben bić...

— Ośm mi już zdarto — odparł Legart — nie tykaj waszmość ostatniej... bo...

— Bo co? — wrzasnął Lichodziejowski, rzucając się ku niemu. — Bo co? powtórzył, zamierzając się...

— Bo — śmierć! — odrzekł chmurno Legart. I drzwi zatrzasnął za sobą.

Lichodziejowski rwał się za nim i kilku innych także z hałasem wielkim, lecz Łaszcz wnet krzyknął:

— Mości panowie, cichajcie!... Mamy innych tu wrogów, nie z chłopami nam zwady wszczynać.

Zmilczano wnet, ale owo „uczutowanie“ Łaszczowe, które zwykle gwarne bywało, nie mogło się jakoś dzisiaj w wesołą rozwinąć biesiadę. Jakby chmura ciężka przytłoczyła izbę i osiadła na umysłach. Najswawolniejszym nawet brakło animuszu, słowa krotofilne zamierały na uściech

lub nie wywoływały aplauzu. Napróżno wychylano szklanice miodu i wina; w głowach szumiało, język się plątał, senność ogarniała, animusz zaś nie mógł wydobyć się z więzów, w które go skrępowała zaduma dziwna.

Pan Łaszcz usiadł szeroko na ławie, nogi przed się wyciągnął, plecami o ścianę się oparł, pił, chrząkał i — milczał.

Aż wreszcie pięścią w stół grzmotnął:
— Cóżście tak waszmościowie osowieli, jak zmokłe wrony! — krzyknął. — Gadajcie co... bom gotów myśleć, że was sama wzmianka o X. Skardze tak przeraziła... Cóż nam ten klecha?... cha, cha, cha!

Śmiał się, ale w tym śmiechu znać było, że z duszy nie płynął.

— Klecha jeno między chłopami najuczeńszy, — ozwał się Lichodziejowski — niech się go przeto chłopkowie boją, nie my!...

I znowu zaległo milczenie. A pan Łaszcz jakoweś znaki rozlanym trunkiem

po stole palcem rysować począł i jakby sam do siebie mruczał:

— Źle jest... źle jest...

W izbie tymczasem zmierzchało. Ogień na kominie rozłożony, przygasał, a wicher coraz gwałtowniejszy jęczał na dworze, siekąc deszczem w szyby...

— Światła! — krzyknął Łaszcz ku Szafrąnskiemu, który stał przy drzwiach, czekając rozkazów, — światła i jakiego trunku, któryby rozwiązał gęby moim kamedułow...

Ruszył się Szafrąnski i wnet wniesiono kilka zażegnanych świeczników, dorzucono drew na kominie, a poczęto w szklanice nalewać najprzedniejszego wina, którego p. Szafrąnski tylko w rzadkich dobywał okazyach.

Wnet też stało się rażniej. A po pewnym momencie pan starosta lityński począł mówić, jako zwykł był, zwięźle, przedstawiając stan spraw rokoszowych. Spraw tych należało pilnować, by się rokosz nie rozlaźł, ileże pan Zebrzydowski

chorzeć poczynał, względem majestatu królewskiego okazywał słabość, a jako zelant wielki, dawał ucho podszeptom jezuickim.

— Jeżeli prawdą jest, — prawił — co nadmienił ów Legart, że X. Skarga ze Steżycy zjechał, to widno, że chce tu, kędy niebawem nowy zjazd odbyć się ma, ognistą wymową swą na umysły wpływać i od rokoszowych działań je odciągać.

— Co on tam zdziałać może! — przerwał Lichodziejowski, któremu owo przednie wino animuszu dodało — jabym, mości starosto, nie wahał się, gdyby na to przyszło, a on nam tu wadzić chciał, precz go ztąd wygnać, albo ująć i na ten czas nieszkodliwym uczynić!...

— Gadaj zdrów waćpan — ozwano się w tłumie — a tegobyś nie sprawił.

Łaszcz zaś znów przerwał, mówiąc:

— Może ten chłop jeno zełgał, a my teraz wszelakich gwałtów wystrzegać się mamy. Tylko artykuły rokoszowe obo-

strzyć musimy, a przede wszystkim żądać ustanowienia przybocznej rady senatorów, bez której król nic postanowić mocen nie będzie.

— W tem grunt! — wołano. — A potem Jezuitów wydalić ze dworu!...

— A potem sąd zwołać mieszany, któryby przez *occulta suffragia* wydawał wyroki za niedotrzymanie paktów...

— Cudzoziemców precz!

— Pospolite ruszenie zwołać!

Rozwiązały się teraz języki na dobre. Coraz zuchwalsze podnosiły się głosy. Najzapalczywszych: Łaszczza, Kazimierskiego, Smoguleckiego, Pękosławskiego wyznaczono do strzeżenia spraw i ułożenia artykułów rokoszowych. A im późniejszy był wieczór, tem gwałtowniej przemawiano i wadzić się poczęto. Jedni już króla Zygmunta z tronu składali, a pan Szczęsny Herbut już Gabryela Batorego polską wieńczył koroną. Inni Bethlena Gabora chcieli. Wtem Lichodziejowski, któremu w głowie trunek już zgoła się

palił, począł przeciw Zebrzydowskiemu różne grawamina podnosić, a zwłaszcza to, że dewocją się bawi i z Jezuitami trzyma.

— Nie będzie w tej Rzeczypospolitej dobrze,—wołał, rękami na wsze strony machając, — dopóki xiężych nie ukróćimy rządów. Ja z panem Gorayskim, aryjanem, trzymać będę, ja ze starostą zygwulskim dyabłu duszę oddam, a klechów wygonię precz!... Pierwszego xiędza Skargę...

Padło znowu to nazwisko w tę rozwydrzoną trunkiem gromadę, jak grom. — Sam Lichodziejowski wyrzekłszy je, umilkł i wszyscy ścichli, gdyby w przerażeniu nagłem...

Tylko pan Łaszcz, ciągle kreśląc jakoweś znaki na stole, mruzczał:

— Skarga... Skarga... byleby tu swym płomiennym językiem gadać nie chciał i umysłów przeciw nam nie fomentował...

A Lichodziejowski zasłyszawszy to, zachęcony, krzyknął:

— Można mu gębę zamknąć, iż nie piśnie... Niedaleko ztąd jezuickie kolegium. Łatwo się przekonać zali X. Skarga tam jest... Czyja łaska, niech idzie za mną. Ja idę! Pochwycę go i basta!

I ruszył się ku drzwiom.

A wtem stała się rzecz niespodziewana.

Drzwi się znagła na ścieżaj otwarły i w nich stanął sam X. Skarga.

Staneła w pełnem świetle postać wysoka, wychudła, nieco przygarbiona. Włosy siwe, wiatrem rozwiane, spadały prawie aż na ramiona, okalając twarz bladą, wymiżowaną, o policzkach zapadniętych. Oczy jeno, w głąb wciśnięte, pały ogniem żywym, siejącym iskry.

Spojrzał dokoła, a na jego białych ustach ukazał się smutny uśmiech, który wnet znikł, rozplynał się w bolesnem jakby skrzywieniu.

— X. Skarga... — wyszeptał Lichodziejowski, cofając się w przerażeniu, jakby widmo obaczył.

Wszyscy z miejsc powstali. Nawet pan Łaszcz dźwignął się z ławy, oczy szeroko rozwarł i usta otworzył, jakby mówić coś chciał.

A X. Skarga parę kroków postąpił. I teraz dopiero spostrzeżono, że prowadzi za rękę małe, kilkoletnie pacholę, drżące z zimna, w łachmany odziane, omdlewające niemal.

— Mości gospodarzu — rzekł zwracając się do Szafrańskiego, który podbiegł— przychodzę o pomoc was prosić, abyście oto tę nieszczęsną sierotkę na razie przygarnąć chcieli... Bezdomny jest, tułał się po ulicach i żebrał... Znalazłem go tu pod płotem, nieledwie na śmierć zmarzniętego i omdlałego. Ogrzać go trzeba co rychlej, bo zemrze... Potem do kolegium go wezmę.

Słaniającego się na nogach chłopczyne ujął wnet Szafrański w ramiona i uniósł do przyległej izby.

A X. Skarga powiódł po zgromadzonych badawczym wzrokiem.

— Przerwałem wam, mości panowie, zda się, obrady — rzekł. — Wybaczcie. Ale nie mogłem uczynić inaczej... Omdlewającego chłopczyny nie udźwignęłyby już moje stare, niedołężne ramiona... Rychły ratunek był konieczny. Musiałem tu wejść... Wybaczcie proszę...

A tu już niektórzy, ruszywszy się, miejsce mu na ławie czynili, prosząc, by spocząć chciał.

Ale X. Skarga nie usiadł. Bystry, przenikliwy wzrok utkwiał w zbladłą twarz Łaszcz.

— A... — przemówił — p. lityński starosta!... Jak się powodzi Waszej Miłości? W Stężycy szukałem was, chciałem od króla miłościwego słowa przebaczenia wam nieść...

— Nie prosiłem o przebaczenie — mruknął Łaszcz — i nie pragnę...

— A ja pragnę — przerwał X. Skarga — iżbyście mogli w rychle sami sobie przebaczyć, że duszę własną tak opornie gorzkim jadem trujecie...

Zachnął się Łaszcz, lecz nie odrzekł nic.

Wśród głuchego milczenia X. Skarga zdążył ku drzwiom, za którymi przed momentem zniknął Szafrąński z omdłym chłopczyką. Lecz w progu zatrzymał się jeszcze i jeszcze raz potoczył wzrokiem po zgromadzonych.

A gdy patrzył, dziwna światłość z oczu mu spływać poczęła i oblała całe jego wychudłe oblicze. Podniósł siwą głowę, wyprostował postać, która zdawała się rosnąć niezmiernie, usta otworzył i począł mówić głosem zrazu stłumionym, który z każdą chwilą rósł, jak i postać sama, wzmagał się natchnieniem, potężniał:

— Zwałtony, zestarzały, osiwiwały, czuję: nie długo ustanę. Ale do ostatniego tchu nie ustanę was kochać bracia moi najmiłsi, a w miłości mej przestrzegać i radzić i gromić. Zebraliście się na radę — a spytajcie sumienia, zali dobrze jest radzić pośród rokoszowych wichrów?... Wiem, że bezskuteczne było i jest wołanie moje,

że mało w winnicy naszej jagód dostałych, mało pociechy, ale i to wiem, że mnie Chrystus Pan i Bóg mój na tę robotę posłał i oto ją spełniam, wołając: Zawróćcie z tej drogi, która ku zatraceniu wiedzy!... I to wam powtarzam, com już rzekł sejmującym Stanom: Bójcie się owych pogrożeń Pańskich, które się nie iszczą rychło, ale aż na potomstwie i synach grzeszących, naśladowujących ojców złych! Zawróćcie tedy, a pokutę czyńcie, iżby, jak mówi Prorok, ożywił nas Pan i po dwu dniach żałości i pokuty, trzeciego dnia, który dniem usprawiedliwienia jest, nas wzbudził!

Ramiona wyprężył przed siebie i z oczyma wzniesionemi ku niebu kończył modlitwą:

— Ty Boże, miłośniku jedności, spuść im ducha zgody, aby wszyscy byli, jako mąż jeden, jednej myśli i rady, na dobro wiary świętej i narodu!...

Cicho zniknął za drzwiami; tak cicho, że zebrani głowy podniósłszy, zdumieli

się, iż go już nie było. Jeno wszystkim się zdało, że stała się ciemność, albowiem zgasła owa światłość, która biła mu z natchnionego oblicza.

I długi moment stali w milczeniu, nasłuchując.

Aż przyszedł pan Szafrański i zwiastował, jako X. Skarga odszedł już do kolegium, zabrawszy owego chłopczykę sierotę, który ogrzany i nakarmiony, w rychle przyszedł do siebie i za swoim dobroczyńcą podążył.

— Iście święty człek!... — rzekł wkońcu pan Szafrański.

A nawet pan Lichodziejowski nie zaproponował teraz. Szedł zaś wśród zebranych jakiś pomruk, szept cichy, wśród uroczystego milczenia:

— Święty jest. —

Lwów, 27 września 1912.





TOWARZYSTWO IM. PIOTRA SKARGI

WE LWOWIE, ULICA TEATRALNA LICZBA 3

wydało :

	Kor.
Głosy pisarzy polskich w najważniejszej sprawie moralności społecznej	1·50
Stanisław Lam: Zarys najnowszej literatury polskiej. Zeszyt I.	—20
Teodor Jeske-Choiński: Moralność naukowa	—20
J. Andruszewski: Spowiedź ojca (nowela)	1·—
Obraz	—30
J. Kossak" Peleńska: Rozbieżne drogi	—80
E. Ligocki: Legendy o królowej Jadwidze	—30
Pustkowie	1·—
Ks. B. Żychliński: Siedem grzechów głównych	1·—
" " " O strzeżeniu wiary i czystości obyczajów	1·—
" " " O wychowaniu dzieci	1·—
Adam Konopka: O zapobieżeniu pornografii	—20

Książki przystępne dla wszystkich:

Nr.		Kor.
1.	Piotr Skarga (wyczerpane)	10
"	2. Czerwone prawdy	10
"	3. Grunwald	10
"	4. Częstochowa	10
"	5. O wychowaniu dzieci	10
"	6. Pouczenie dla ludu o przepisach skarbowych	10
"	7. Największy wróg ludzkości	20
"	8. Z górnych chwil (opowiadanie hist.)	10
"	9. Dwie bitwy (opowiadanie hist.)	10
"	10. Legendy o Królowej Jadwidze	10
"	11. O pielęgnowaniu dzieci	30
"	12. Praca wśród ludu	10
"	13. Dlaczego Chrystus ma wrogów	20
"	14. Do jakich stowarzyszeń Polak należeć powinien?	20
"	15. Opłatki	80
"	16. O Konstytucyi 3-go Maja	10

Ze zbioru 12 Książek dla ludu polskiego

wyszły już:

	Kor.
Książka I. Jan Łada: Ostatnia msza; Z ciężkich dni	40
" II. E. Zorjan: Zygmunt Krasiński, wierzącej Polski wieszcz	40
" III. Cz. Pieniązek: O życiu, dziełach i zasługach ks. Piotra Skargi	40
" IV. E. Zorjan: Przez zasługi do korony	40
" V. Ks. Biskup Bandurski: Złote usta, złote serce, obrazek sceniczny z życia ks. Piotra Skargi	40
" VI. R. Knendich: Wspomnienie o krzyżu	40
" VII. St. Lam: J. I. Kraszewski	40
" VIII. Adam Krechowicki: Święty jest	30
" IX. Wl. Bełza: Z chłopia król	30

W drodze przedpłaty kosztuje 12 książek dla ludu polskiego zamiast K 4·80 tylko K 3·40

Zamawiać najlepiej wprost u Wydawnictwa.